

Jerzy Kawalerowicz i „Śmierć prezydenta”. Rozmowa z Łukaszem Jasiną

Film Kawalerowicza bardzo dobrze rekonstruuje atmosferę panującą w ówczesnych partiach politycznych – od lewicy do prawicy – ich podziały, fobie, problemy, siłę endecji w wielkich miastach i wyłaniające się zjawisko antysemityzmu – mówi Łukasz Jasina w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „1922. Oblicze polskiej stąsis?”.

Karol Grabias (Teologia Polityczna): „Śmierć prezydenta” Jerzego Kawalerowicza z 1977 roku to niemal dokumentalny zapis końcowego etapu życia pierwszego prezydenta II RP. To chyba niespotykana wcześniej formuła w polskim kinie?

Łukasz Jasina: To konkretne dzieło w wykonaniu Bolesława Michałka i Jerzego Kawalerowicza – bo ja zawsze się bardzo mocno upieram, że to jest praca dwóch artystów: scenarzysty Michałka i reżysera Kawalerowicza – było dowodem ich światowości i zrozumienia prądów istniejących we współczesnych kinie. Panowała wówczas gigantyczna moda na podobne filmy, kręcono je wszędzie – i w kapitalistycznych filmografiach zachodniej Europy, i w kinematografii amerykańskiej, i w kinematografiach Związku Sowieckiego. Filmy te zwykle dotyczyły materii wydarzeń historycznych, zazwyczaj dziejących się od trzydziestu do pięćdziesięciu lat wcześniej: pierwszej wojny światowej, drugiej wojny światowej, okresu międzywojennego. Każdy z wymienionych bloków, czy wręcz państw, fundował sobie wtedy jakieś

bardzo mocne, symboliczne dzieło o wybranym elemencie własnej historii: w Czechosłowacji Otakar Vávra zrobił film o konferencji w Monachium, w Jugosławii – w koprodukcji z twórcami zachodnimi – powstało dzieło o zabójstwie Franciszka Ferdynanda. Prędzej czy później musiało to dotrzeć również do Polski i Bolesław Michałek, który obserwował bacznie filmy festiwalowe, na taki pomysł wpadł.

Jak wyglądała pozycja Jerzego Kawalerowicza w polskim kinie przed powstaniem „Śmierci prezydenta”?

Wtedy, w latach siedemdziesiątych, Kawalerowicza uznawano za największego i najważniejszego polskiego reżysera, był związany z Andrzejem Wajdą, należał do Zrzeszenia Filmowców Polskich. Uchodził za twórcę bezspornie cenionego, miał na koncie pierwszą polską – po Romanie Polańskim, który przecież wyjechał na Zachód – nominację do Oscara za „Faraona”. Zainteresowanie historią było wtedy bardzo duże i Kawalerowicz to widział. To zjawisko jest oczywiście przez nas pamiętane, przede wszystkim przez dzieła artystyczne, takie jak „Kabaret” Boba Fossego. Był to taki moment, czterdzieści, pięćdziesiąt lat po wielkich katastrofach w Europie, kiedy nawet w totalitarnych systemach można było nieco prawdziwiej, spokojniej popatrzeć na to wszystko. Różnego rodzaju cenzury, czy to cenzura finansowa w kinie kapitalistycznych, czy cenzura polityczna w kinematografiach socjalistycznych, były troszeczkę łżejsze, niż choćby dwie dekady wcześniej. Te wszystkie czynniki złożyły się na to, co Kawalerowicz stworzył. Był to też okres odchodzenia świadków tych wydarzeń. Kiedy Kawalerowicz i Michałek zabierali się do robienia swojego filmu, żyli jeszcze, i to zarówno w Polsce, jak i na emigracji, choćby w Londynie,

posłowie, którzy zasiadali na ławach sejmu w roku 1922, kiedy Narutowicza wybierano na prezydenta. Był to też okres, kiedy zaczęto mówić w końcu w PRL-u o Józefie Piłsudskim.

Postaci znacznie bardziej kontrowersyjnej dla komunistów niż Narutowicz.

Oczywiście! Gdyby tylko cenzura zaatakowała obecność Piłsudskiego, to taki film, jak „Śmierć prezydenta” nie mógłby w ogóle powstać i nie miałby takiego znaczenia. Wróćmy jednak do pytania: czy był to film całkowicie nowatorski? Na rynku światowym nie, choć podążał za najlepszymi trendami. U nas na rynku Polskim też nie był to film jedyny w swoim rodzaju od strony konwencji. Niektóre filmy, które powstawały mniej więcej w tym samym czasie, co „Śmierć prezydenta”, i dzieliły z nim model historycznego dokumentu, zostały zapomniane dość drastycznie – może za sprawą tego, że robili je słabsi reżyserzy. Któż z nas pamięta na przykład robionego mniej więcej w tym samym czasie, kosztem nawet większego budżetu „Jarosława Dąbrowskiego” w reżyserii Bogdana Poręby z Zygmuntem Malanowiczem w roli głównej? Niestety mało kto.

Chciałbym zapytać o to, jak sam Kawalerowicz i Michałek przygotowywali się do stworzenia filmu tak drobiazgowego, bogatego w detale historyczne. Czy powstanie filmu poprzedziła solidna praca w archiwach?

Był to olbrzymia praca badawcza: zwłaszcza prasowa, w zdecydowanie mniejszym stopniu filmowa, bo mamy do dyspozycji tylko kilkanaście ujęć z 1922 roku zachowanych w polskich archiwach. Jednocześnie istnieje bardzo bogata dokumentacja fotograficzną z tamtego okresu sejmu ustawodawczego i sejmu pierwszej kadencji, jak również bogactwo świadectw osób, które brały udział w tych wydarzeniach. Spójrzmy na to z tej strony: od momentu powstania tego filmu do dziś, minęło mniej więcej tyle czasu, ile od wydarzeń, które są w „Śmierci prezydenta” przedstawione, do momentu jego powstania. Było to wciąż namacalne, żywe wspomnienie dla wielu osób, w tym bezpośrednich świadków tych dni. Na tak doskonale przygotowanym gruncie pojawiły się postacie niezwykle: wszyscy aktorzy, począwszy od Zdzisława Mrożewskiego, który miał zagrać Narutowicza po Jerzego Duszyńskiego – dawnego amanta kina polskiego – który miał zagrać Piłsudskiego, byli wyborami nieoczywistymi, dowodzącymi tego, jak wysoko stał casting przeprowadzony przez twórców tego filmu i ich historyczny zmysł.

Porozmawiajmy o realiach przedstawionych w filmie. Wygrana Narutowicza nad kandydatem Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, Zamojskiego, to jeden z największych paroksyzmów społecznych II RP. Jak film uchwycił ten niezwykle napięty okres?

Twórcy filmu opowiadają się wyraźnie po jednej ze stron: PPS-owskiej. Jedyne, co z punktu widzenia historii można im zarzucić, to zmystyfikowanie i zdecydowane zwiększenie roli komunistów w tych wydarzeniach, a zwłaszcza Stanisława Łańcuckiego. Ale rozumiemy, takie, a nie inne panowały porządki w PRL. Abstrahując od tych rzeczy, od lekkiego przekłamania z komunistami i od tego, że artysta dokonał

wyboru narracyjnego, był to film mało zideologizowany, bardzo rekonstrukcyjnie przedstawiający rzeczywistość, pokazujący wrogów Narutowicza w nieco wykrzywionym świetle, ale jednak dający im prawo do ich racji. Był to również film pokazujący niezwykle rolę Józefa Piłsudskiego, w całym tym procesie, jego centralne miejsce w życiu politycznym II RP. I był to w końcu film bardzo dobrze rekonstruujący atmosferę panującą w ówczesnych partiach politycznych – od lewicy do prawicy – ich podziały, fobie, problemy, siłę endecji w wielkich miastach i wyłaniające się zjawisko antysemityzmu.

Jak „Śmierci prezydenta” została odebrana przez krytyków i widzów? Z jednej strony stał on po stronie lewicy, z drugiej gloryfikował prezydenta II RP i pokazywał go jako męża stanu.

W latach siedemdziesiątych II RP była pokazywana na wiele sposobów – oczywiście najczęściej była krytykowana, jednak coraz więcej filmów odpowiadało obecnemu w społeczeństwie przekonaniu, że mówimy o niepodległym państwie, które było, mimo wszystkich swoich problemów, znacznie lepsze od PRL-u i nie dało się go zohydzić. Oczywiście były to filmy często zupełnie różne od „Śmierci prezydenta”. Wróćmy jednak do dzieła Kawalerowicza. Spośród wielkich polskich filmów – bo „Śmierci prezydenta” zalicza się do grona kilkunastu najlepszych produkcji polskiego kina, nie tylko historycznego, ale kina w ogóle – nie spotkałem żadnego, który generowałby tak mało krytyki. I to zarówno w sensie historycznym, faktograficznym, jaki i w wymiarze czysto artystycznym. Podsumowując, nie licząc drobnych pomyłek, potknięć, małych krytyk, również bardzo wymagających krytyków, dzieło Kawalerowicza okazała się czymś, na co ówczesna polska publiczność kinowa, jak i sami recenzenci, czekali.

Rozmawiał Karol Grabias